



Aleksandra Wendland

Sygnatura notacji: **N1360**

Data urodzenia: **12.12.1930 r.**

Data nagrania: **29.05.2019 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Poznań, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**

Czas nagrania: **77 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Aleksandra Wendland: Aleksandra Wendland, z domu Kluck, urodzona 30 grudnia 1930 roku w Poznaniu. Rodzice: ojciec pracował w urzędzie wojewódzkim jako urzędnik, prowadził resort urzędu ziemskiego. Oprócz mnie w rodzinie były dwie siostry, starsze – jedna o sześć lat, jedna o dziewięć lat i młodszy brat, który w czasie... Znaczący, urodził się 1 lutego 1939 roku, więc jak wojna wybuchła, miałam dziewięć lat. Ja zaczęłam chodzić do szkoły i właśnie w momencie kiedy wybuchła wojna, byłam cała szczęśliwa, że się zacznie szkoła, bo żeśmy szkołę bardzo lubiły, no ale niestety, co się stało, to się stało. Ojciec jako urzędnik państwowy miał nakaz stawienia się w Lublinie, ponieważ tam przeniesiono cały urząd ziemski, bo była taka, było takie stwierdzenie, że Niemcy do Lublina nie dojdą i tam urząd będzie nadal pracował. Mieli rozkaz stawienia się tam. Ponieważ ojciec nie zdążył na pociąg, który wszystkich ewentualnych pracowników mógł zawieźć do Lublina, musiał zdecydować taką prywatną ucieczkę, którą zresztą z Poznania bardzo dużo ludzi uciekało już w trzydziestym dziewiątym roku. I przeszłam, przez cały wrzesień przeszłam przez tę ucieczkę, pod bombami, bo tak jak myśmy uciekali, tak niemiecki front się posuwał, właściwie żeśmy byli cały czas pod ostrzałem, pod bombardowaniem, żeśmy uciekali w radlony tak zwane itd. W związku z tym ja już byłam jakby zaprawiona, że jest wojna, że trzeba chronić się przed wojną. Ojciec nie tłumaczył nam zagrożeń, mnie przede wszystkim, bo starsze siostry żyły swoim życiem, mama była zajęta bratem małym, miał dziewięć miesięcy, a mną się opiekował najbardziej ojciec. Ja do dzisiaj czuję jego rękę, która mnie prowadziła właściwie przez całą wojnę jako opiekun. Tak że jak na stałe wysiedlenia, to ja sobie nie zdawałam sprawy, o co to chodzi. Wiem tylko, że wieczorami, ponieważ mieszkałam na ulicy Skrytej, to był taki ładny zakątek, przyjeżdżali nocą – gdzie tam nocą – to był grudzień, było ciemno, nie wiem, od ósmej zaczynali chyba te wysiedlenia, to tam gdzie Niemcy przyjeżdżali, to natychmiast, mimo że było zaciemnienie bezwarunkowe, to oni gdzie wchodzili do mieszka-

nia, to zapalali światło wszędzie, nawet w ubikacji, bo oni przeglądali, czy ktoś nie zostanie, czy ktoś nie zostanie z rodziny. Więc to myśmy już wiedzieli: O! Tam są Niemcy, tam wysiedlają, widocznie już dzisiaj ich zabiorą. I tak było też z nami, że przyjechała taka buda, zawsze pod dom i już było pełno osób, ale zaczęli do nas „rąbać” na dole strasznie. To było okropne, bo Niemcy robili to wszystko z wielkim krzykiem, hałasem, rąbaniem. No i wtargnęli do naszego mieszkania, i że wysiedlają. I było ich dwóch, ja już nie wiem, czy to byli esesmani, czy gestapowcy, wiem, że byli tacy, takie czarne diabły. I zaczęli się między sobą Niemcy kłócić, czy jeszcze jest miejsce czy nie. Jeden mówił, że jest nakaz, że musi, drugi mówi: „Ale nie ma miejsca”. I to trwało dosyć długo. I w tym czasie mama zdążyła nas poubierać tak, co tylko się dało, tak że ja właściwie tak stałam, bo nie mogłam rąk zgiąć. I płaszcze, i kurтки, i swetry, i wszystko co tylko się dało, żeby... Bo nie wolno było za dużo wziąć rzeczy. No, ale jednak zapadła decyzja, że tak, jeszcze na siłę trzeba nas wyrzucić. I w międzyczasie był taki Niemiec, też nie wiem, czy to esesman, czy gestapowiec. Mama mi kazała w pokoju stanąć przy łóżeczku brata i mówi: „Ty tu stój i się nie ruszaj”. I wtedy właśnie taki moment pamiętam: Przyszedł ten Niemiec, stanął nad łóżeczkiem brata i tak patrzył, patrzył, długo patrzył. I mama, wiem, że tak też podeszła potem, bo... Że trzeba dziecko już ubrać, już trzeba wziąć. I mama zapłakała, mówi że: „On mi nie przeżyje takich mrozów i takich warunków”. I ten Niemiec, o dziwo, powiedział: „Może pani wziąć wózek – to było, to było niespotykane, niespotykane – i może go pani wziąć we wózek”. I wyszedł, i tylko powiedział, nie wiem, czy do mamy, czy do ojca: „Ja takiego synka mam w domu”, więc mu serce zmiękło widocznie, nie wiem. I ojciec w międzyczasie szybko schował poduszkę, bo nie wolno było. Pod materac wrzucił poduszkę i ta poduszka cały czas chyba jakoś tak była, mogła ocieplić brata i w tych barakach, itd., w tej podróży całej. Ja wzięłam misia, to mi pozwolił tato wziąć misia i ten misio kochany, to była moja poduszka też w czasie obozu i w czasie podróży. Ja go tuliłam, miałam coś swojego własnego. Ja się bardzo bałam, że nas rozdzielą, że może ojca biorą – bo to było trudno jako dziecko zrozumieć, o co tu chodzi, ponieważ już raz żeśmy uciekali z domu, to mnie się wydawało, że my znowu musimy ratować się przed wojną i że wrócimy zaraz. Takie poczucie, bo już raz żeśmy w ten wrzesień przejechali całą. No, ale czułam ojca rękę, więc była spokojna. Dziecko w rodzinie, jak ma rodzinę, to jest najbezpieczniejsze. Rodzina to jest cudowna rzecz, naprawdę. Nas wywieźli do tego obozu, to takie stare poniemieckie jakieś takie, nie wiem, mam to napisane, to takie hale jakieś były po wojsku. Ledwo to się szopy trzymały, w ogóle okien prawie nie było, powybijane szyby. To było prawie trzydzieści stopni mrozu wtedy. No nas rzucili na beton, na którym już taka zmielona słoma była, no ale tak żeśmy wylądowali i tak żeśmy egzystowali – jak długo, ja nie wiem – czy pięć dni, czy sześć dni, czy tydzień, bo to było wciąż to samo, ten sam głód, zimno, krzyk dzieci, bo tam było dużo dzieci, ludzie płakali, szlochali. To było takie straszne zamieszanie. Toalet nie było, jak myśmy przyjechali. Nie było żadnych szalet, toalet, tylko był wykopany dół i deski. I trzeba było iść na deskę i się załatwić. No to było potworne, bo ludzie raz, że się krępowali, a po drugie były sceny makabryczne. Była taka pani, która miała futro na sobie i z góry na dół miała całe zabrudzone, no bo to ktoś, gdzieś, jeden drugiego trzymał, no ale to już tam mniejsza. Głód był straszny. Czyli z Lublina po zakończeniu działań wojennych państwo wrócili do Poznania. Nie z Lublina. Myśmy byli wywiezieni do Częstochowy, a z Częstochowy ojciec się przeniósł do Skierniewic i wracaliśmy ze Skierniewic. Dobrze, tylko chodzi mi o sam początek, bo mówiła pani, że ojciec dostał jako urzędnik... Aha, ale to myśmy wtedy dojechali tylko do Konina, bo myśmy podwodami jeździli. Czyli do Lublina żeście nie dojechali. Nie. I wróciliście z powrotem do Poznania. Tak. I dlatego ja miałam to poczucie, że jeśli się opuszcza dom, to się wraca. Ponieważ to było bardzo skrótowo, to może być niejasne, więc gdyby pani była jeszcze uprzejma powtórzyć ten wątek: z Poznania jak jechaliście do Lublina, to że nie dojechaliście. Gdzie dojechaliście i że się wróciliście. No więc dojechaliśmy tylko do Ko-

nina, ze względu na to, że tam były pod Sochaczewem straszne walki. Pamiętam, jak żołnierze skrwawieni, brudni, konie tak, aż dzikie. Oni krzyčili: „Nie jeźdźcie tam, bo tam jest piekło. Wracajcie, bo tam jest piekło”. I wtedy rodzice i właściwie wszyscy, co uciekali, cofnęli się i żeśmy wrócili do Poznania, bo nie było sensu już dalej jechać. W obozie po prostu mieliśmy w nieszczęściu szczęście, że nie byliśmy miesiącami, tylko nie wiem, czy dziesięć dni, czy... Nie umiem tego powiedzieć, bo nie ma dat, nie mam... A już nikt mnie nie powie tego. Były wagony bydłce podstawiane, a myśmy mieli takie szczęście w nieszczęściu, że podstawiono pociąg osobowy dla Żydów, których mieli wywieźć prawdopodobnie do Treblinki, bo już to... Nie wiem, czy to już była Treblinka, czy nie, w każdym razie im mówili, że jadą na wschód, do Rosji i tam będą mogli się osiedlić. Więc oni byli... Wszystko, co tylko się dało, żeby tam zacząć nowe życie. Ale ponieważ nie zdążyli w obozie ich przejrzeć wszystkich rzeczy, które Niemcy chcieli zabrać im, opóźnili wyjazd i nas w te wagony osobowe. Mieliśmy takie szczęście, że tam żeśmy weszli i nawet ten wózek się zmieścił w przejście, i tam ten brat spokojnie sobie w tej poduszeczce przeżył, no, a myśmy jechali przez trzy dni i trzy... Trzy doby, ponieważ tory były zajęte dla wojska niemieckiego, więc tak nas spychali na jakieś pobocza itd. Tak że też byliśmy tam... Bo przed wyjazdem był taki komitet na Głównę, polski, który rozdawał każdemu po kawałku... Bochenek chleba, bochenek chleba, tak że mieliśmy kawałek chleba, trochę. No, ale było też głodno, zimno. I taki moment, że jak myśmy stali na jakimś takim poboczu, to panowie wychodzili z wagonów, żeby śnieg zabrać do picia, do wody, do umycia, cokolwiek. No, ale Niemcy jak zauważyli, no to zaczęli krzyczeć: Los! Los!, że będą strzelać, wszyscy uciekli, co ktoś zdobył. Tak że nawet nam nie pozwolili, że tak powiem, sobie trochę tego śniegu nabrać. Kto nabrał, to nabrał. No i tam żeśmy dojechali do Częstochowy i w Częstochowie na peronie – dlatego ja mówię, że nie można używać słowa, że nas wysiedlali, tylko nas wypędzali, bo wysiedlili nas na peron, peron kolejowy w Częstochowie. To było wysiedlenie na peron. No bo wysiedlić, to jest jakoś, zamienić, wysiedlić z miejsca na miejsce, ale pod jakąś kontrolą czy opieką, a tak idźcie sobie, gdzie chcecie. I myśmy trafili – tam już były też takie komitety społeczne, chociaż powiem, że ludność cywilna tam, w Częstochowie, tak trochę na nas poznaniaków patrzyła bokiem: „Co wyście przeskrobali? To wy tak coś z Niemcami widocznie”... Nie mogli zrozumieć, dlaczego nas, bo to te początki wojny przecież – do takiej sali katedralnej, gdzie też nie było ani światła, tylko takie... Ani okien. I też żeśmy na deskach takich spędzali. I róbcie, co chcecie, szukajcie sobie. I właśnie wtedy nastął ten moment, że ojciec chodził i szukał jakiegoś, kto by nas przygarnął, no ale taką rodzinę sześciuosobową to nie tak łatwo. I ojciec chodził, wracał zawsze taki załamany, że nic, nigdzie, nic nie da rady. I chodził nawet na taką dzielnicę Częstochowy, która się nazywała Ostatni Grosz. I tam było, najczęściej właśnie Żydzi mieszkali. I ojciec mówi, że stamtąd jak wracał, to było okropne, bo gdziekolwiek chciał zapukać, to na drzwiach było: „tyfus plamisty”, „cholera”, „dżuma” czy tam Bóg wie co jeszcze, żeby już w ogóle nikt nie pukał. Żeby już, nie daj Boże. Jest zaraza, więc nie. No i tam któregoś dnia, myśmy tam byli pewno z tydzień, przygarnęła nas rodzina, bardzo taka naprawdę wyjątkowo wrażliwa, ponieważ... Ojciec tam zapukał. Było tak, po jednej stronie mieszkali nauczyciel, mieli trzy pokoje, z jedną dziewczynką, ale powiedzieli, że nie, bo żona jest chora. I wyszła taka pani z sąsiednich drzwi i ona miała dwa pokoje i dwójkę dzieci, powiedziała: „Nie będziecie tak dłużej się męczyć, ja was przygarnę”. To była pani Euzebia Jałowiecka, która, potem się okazało, że też działała w AK i zginęła w Oświęcimiu, gdzieś ją tam przetego, ale jak myśmy byli, to nie... I ona pokój mały nam oddała, mały pokój, taki jak pół tego. Wzięła chłopców do siebie. Chociaż ten pokój był straszny, bo tam był grzyb i było zimno też, no ale, ale był spokój i mogliśmy tam zamieszkać. I ona była bardzo dobra, bo nam pozwalała z kuchni korzystać i mnie na przykład pozwalała tam z chłopcami się bawić w kuchni, ogrzać się. No i tam były pierwsze święta Bożego Narodzenia, to dostałam takie gałguszki od choinki od tej pani, jakies

takie guziki powieszkałam i to była choinka, to były święta. Ojciec, nie wiem skąd, kupił mi taką rozkładaną szopkę i tam stała. No, no nic więcej. No i wtedy też od razu zostałam przydzielona do tej żydowskiej szkoły, do szkoły Ligenzy. Tam były żydowskie dzieci. Właściwie... No chyba to była żydowska szkoła, bo ja nie wiem, nazwy nie było takiej, że to jest żydowska szkoła, ale same żydowskie dzieci. Owszem, musieli przyjąć nasze polskie dzieci, bo to Niemcy... Znaczący, nie wiem, czy to komitet jakiś rozdzielał dzieci do szkół. No i było tam bardzo przyjemnie, bo my, wie pan, dzieci jak dzieci, dzieci się dogadują bardzo szybko. I tylko było o tyle nieprzyjemnie właśnie, że to był styczeń i jeszcze Żydzi w ogóle nie myśleli o tym, że będą oni prześladowani. I przychodzili te mamy, tak jak pisałam, z takimi jeszcze szynkami, bułeczki ze szynką, jeszcze banany, bo to jeszcze wszystko było, to był... Oni mieli nie tylko, że zapasy, ale może to było w sklepach, ja nie wiem, jeszcze jak to było w styczniu w czterdziestym roku. No i właśnie to takie było dla mnie przykre, że ja byłam głodna, bo miałam kawałek czarnego chleba, bo więcej nie dało rady, a te mamy przychodziły, przerwa była taka, żeby dzieci mogły bardzo... Bo oni dbali o dzieci bardzo, żeby dzieci mogły mieć przerwę, żeby mogły się spotkać z rodzicami, żeby mogli śniadanie zjeść. Były gorące napoje: czy mleko, czy kakao, czy herbata – co mama przyniosła. A ja, ja to tak mówię, nikt mnie niczym nie poczęstował, ale ja miałam taką, nie wiem, taką dumę jakąś w sobie czy coś, że broń Boże, ani nie poprosiłam, ani nie pokazałam po sobie, że coś bym też takiego chciała. No, ale to już było, minęło. Dzieci... W lutym już chyba, zaczęli organizować właśnie te getta i szkoła została zlikwidowana. Ojciec mi nie tłumaczył, co z tymi dziećmi, bo ja już się zaprzyjaźniłam. Była taka Żydówka – Pohorille, bardzo... Z nią siedziałam, bardzo miła. Był chłopiec taki bardzo... Te dzieci były bardzo inteligentne, muszę powiedzieć, że naprawdę były bardzo bystre, otwarte, radosne. I nam było dobrze. No, ale ojciec mi nie tłumaczył dlaczego, co się stało z nimi. Nie zdawałam sobie sprawy. I przenieśli mnie do innej szkoły, do szkoły nauka i praca. Tam były... To była szkoła, gdzie było chyba z tysiąc dzieci, tak mi się wydawało, że była coś tak... Powszechna taka szkoła, bardzo dużo dzieci było. No tam nie mam specjalnych wspomnień, bo wiem tylko tyle, że był taki dzień, gdzie było, przedstawienie miało być „W dzień targowy – Brzechwy – takie słyhać to rozmowy”, no i tam po prostu przebierali nas za warzywa. I moja mama wpadła... Mówi: „Wiesz, co? Jakoś ubrać. No, ale jak ja mam cię ubrać? Wiesz co? Kupię kapustę i zrobię ci z kapusty taką spódniczkę i tu zrobię taki kołnierz ładny z tych liści takich kapusty. Ale pamiętaj, przynieś tę kapustę, bo ja ją muszę ugotować”. Nie daj Boże wyrzucić. No co ja jeszcze pamiętam? Z Częstochowy już nie za dużo, nie za dużo, no bo to do szkoły się chodziło itd. Wiem tylko tyle, że wciąż był jakiś głód, było... Zawsze mówiłam, że jak będę, wrócę do Poznania, to kupimy sobie tyle cukierków i tyle ciastek, że będzie aż dosyć. To takie marzenia. Ojca... Ojciec... Nie wiem, jakim sposobem poznaniacy się odnajdywali tam w GG, nie wiem. Nie wiem. Ale właśnie z urzędu wojewódzkiego, ojciec tam spotkał pana Celińskiego, z którym pracował i on był, on się znalazł w Skierniewicach i tam ojca ściągnął. Ojciec miał wielkie skrupuły, że jak on może pracować dla Niemców, nie wolno itd., itd., no ale w końcu mama powiedziała: „To chcesz, żebyśmy wszyscy z głodu umarli? Jedź tam do pracy”. I ojciec pracował w starostwie niemieckim, to był sejmik. Tam jest do dzisiaj ten gmach piękny, no ładny. Ponieważ oni bardzo chętnie zatrudniali poznaniaków, ponieważ znali prefekt niemiecki, więc oni mogli, tłumaczami byli i tak dalej. No jak tam żeśmy się przenieśli po roku, rok żeśmy chyba w Częstochowie byli, no tam już trochę było lepiej, bo dostaliśmy mieszkanie, co prawda już pożydowskie, bo już Żydów wszystkich do getta przewieźli. I muszę powiedzieć z przykrością, że jednak po tych Żydach mieszkania były strasznie zaniedbane. Były pluskwy, brud taki. I warunki dla nas, którzy żeśmy żyli tu, można by powiedzieć, w porównaniu, w luksusach, bo toalety były na podwórzu, z tyłu, wody nie było, była studnia, trzeba było chodzić. Myśmy mieszkali na pierwszym piętrze, to był jednopiętrowy taki dom. I ojciec chodził, nosił w wiadrach wodę z tej pompy

z podwórza, a na toaletę trzeba było biegać na koniec podwórza i te toalety były tak zabrudzone... Tylko moja mama to była taka cudowna kobieta, ona wszędzie gdzie była, to potrafiła robić porządek. I też jedną toaletę załatwiła, że będzie nasza, wyszorowała, wymyła i zamykała. I tam po prostu nikt nie miał wstępu, jak chcecie, to sobie brudźcie u siebie. No tam... Tam po prostu też mama mieszkanie wytępiła jakimś cudem te wszystkie pluskwy i paskudztwa. No już ojciec tam trochę przyniósł, zarobił. Jeździł na wieś, przywoził jakieś warzywa. Nie mieliśmy tam mebli, z desek zbiliśmy takie prycze. Tam ojciec gdzieś się postarał na wsi o takie sienniki, słoma... Się fajnie spało, słoma dęgała nieraz aż się nie ułożyła, ale było świeże, czyste. Jak sobie mama radziła na przykład... Ojciec przywiózł dużą gęś, dużą skrzynię i w kuchni ta gęś egzystowała do świąt, aż ją mama utukła, zabiła. Ale wszystko umiała: krew upuścić, podzielić to, żebyśmy mieli. I to była taka piękna sprawa, żeśmy się do syta najedli. Też przy domu był taki pusty plac i moja mama to zagospodarowała, nawiozła jakąś [ziemię], nasadziła, zrobiła grządki, nasadziła warzywa, groszek pachnący, piaskownicę zrobiła. Ci ludzie patrzyli z takim zdziwieniem, że można z takiego czegoś zrobić coś. I wtedy były i warzywa dla brata, przede wszystkim dla brata wszystko było. I truskaweczki, i groszek, i marchewka, wszystko tam było. I pomidory... I nas mama wyгнаła po krowieńce, bo tam była blisko łąka i nawoziła, tak że mieliśmy piękne pomidory i wszystko. Taka była moja mama, cudowna. Umiała z tym wszystkim jakoś radzić sobie i dlatego mówię, że takich, takich rodziców to życzę każdemu. Kochani. I jak oni to wytrzymali, to ja nie wiem. Stracić wszystko. No pan sobie wyobraża, w jednym momencie przychodzą i panu każą wyjść, i pan ma tam w domu wszystko: swoje pamiątki, ukochane rzeczy, dokumenty. I wszystko – nie ma, nie ma. Wszystko: Raus! i koniec. No co ja tam jeszcze pamiętam? No tam już dla mnie było o tyle dobrze, że była... Nie było już takiego głodu, nie było... Chociaż mieszkanie było zimne, ale już nie tak, już człowiek był przyzwyczajony. Chodziłam do szkoły i bawiłam się na ogół z dziećmi biednymi, bo ja byłam biedna. Tam przychodziły dzieci na boso, bo nie miały butów. Ale, ale to była taka fajna paczka tych biednych dzieci, które się rozumiały, które się dzieliły, które się razem bawiły. Jak ojciec zostawił rower, to: „Słuchajcie, dwie rundki dla nas, po kolei robimy”, żeby się jakoś bawić. Piłki nie mieliśmy, nic, ale po prostu, właśnie, mówię, czułam się dobrze wśród biednych dzieci, bo te dzieci z tych lepszych domów tamtych to już były takie, prawda, lepiej ubrane... No myśmy mieli już swoje takie. Ja tam miałam wariackie pomysły, bo miałam swobodę. Na przykład z tą grupą tych biednych dzieciaków, mówię: „Wiecie co? Zorganizujemy na dzień zaduszny groby dla polskich żołnierzy na cmentarzu”. No tam były takie groby, taka była działka. „No, ale jak?”. No to żeśmy zaczęli chodzić od domu do domu, żeśmy pod fałszywą nazwą, że to ze szkoły zbieramy pieniądze na ubranie grobów. I ludzie zaczęli nam tak dawać, żeśmy zgłupieli po prostu, co z tymi pieniędzmi, ale żeśmy kupili. Ale to honorowo, musimy to zrobić. Żeśmy kupili jakieś chorągwie takie, chorągiewki z papieru, te takie jak na Wszystkich Świętych i kwiatki jakieś czy tam świerki, i żeśmy ubrali prawie wszystkie groby żołnierzy polskich. Tak że honorowo. My jesteśmy Polacy. Jak nam zostało trochę groszy, to mówię: „Słuchajcie, to uczciwie podzielimy się. Pójdziemy na strych...” bo to było jedyne miejsce, gdzie byliśmy u siebie. I kupiliśmy sobie ciasta, cukierki i żeśmy się najedli, szczęśliwi, żeśmy... No takie głupoty żeśmy my robili. Potem jeździł hycel, który łowił psy, to myśmy mu otwierali, jak on poszedł inne psy łapać, to myśmy otwierali, te psy uciekały jak szalone. Myśmy się cieszyli, że wypuszczamy je na wolność. No takie to były czasy, że to były nasze, nasze zabawy. No co jeszcze. Pamiętam, że tam w Skierniewicach właśnie, na dworzec... Nie wiem, czy w Skierniewicach był chyba jakiś punkt oporu. Tam przyjeżdżali Niemcy. I kiedyś właśnie, bawiąc się na ulicy, zauważyłam, że środkiem jezdni pędzi człowiek, który zaczyna w biegu zrzucać z siebie wszystkie rzeczy i gonią go Niemcy i strzelają. Myśmy się przytulili do budynku jakiegoś, bo żeśmy się przerazili, bo strzelanina. I ten człowiek uciekł. Tam było, widocznie wiedział, że było takie przejście z tej ulicy przez podwórze na drugą ulicę, on tam

wprysł. I tak po prostu się dowiedziałam, bo jak o tym mówili ludzie, że on zrzucając te rzeczy, tam ktoś mu dał inne i on się tam zmieszał w tłum i jakoś uciekł. Ale to dla nas było straszne przeżycie, że właśnie on ucieka, a tu go gonią i strzelają. I Niemcy nie złapali go, nie złapali go. Poza tym byłam z ojcem na dworcu kiedyś też, to mam takie zdjęcia, no to wiadomo, jak te pociągi wyglądały: Nur für Deutsche, a tutaj winogrona i tak dalej. I nie wiem, czy żeśmy na kogoś czekali z tatą czy coś, w każdym razie stałam na peronie i właśnie pociąg przyjechał, i ludzie chcieli dostać się do tego pociągu. I taki starszy człowiek, biedny, jakąś taką, miał tobołek taki i chodził, biegał – tu nie, tu nie. No on na stopniach nie pojedzie i tak bezradny był. I w tym przedziale dla Niemców stał w oknie tak sobie, pamiętam jak dzisiaj, też jakiś Niemiec i tak widział, widział i na niego kiwnął. I ten biedny wziął ten pakunek i do niego leci, pędzi. Ten mu otwiera drzwi, on wkłada ten pakunek, Niemiec zamyka drzwi, jego kopnął, zamknął drzwi, stał i się śmiał tak szyderczo. Ja wiem, że ja wtedy, to było dla mnie coś tak straszego, przeżycie, że ja sobie nie wyobrażałam, że mógł taką krzywdę zrobić człowiekowi. To dla mnie było niewyobrażalne. Ja mówię: „Jak ja was nienawidzę, Niemców”. To jest coś okropnego. I ten człowiek taki leżał, no pociąg ruszył, odjechał. Bagaż, jaki, co on tam miał w tym bagażu, to nie wiem, ale przewrócony, zrozpaczony, a ten się szyderczo śmiał. Więc właśnie mówię, to było straszne, że jako młoda, młode dziecko ja się spotykałam z tą... Cynizmem, z tą przemocą niemiecką i z tą niemocą, w pewnym sensie, nas, no bo ci co walczyli, to walczyli, ale ogólnie, ogół Polaków no co miał zrobić? Zniewolenie takie, straszne upokorzenie, takie właśnie... Ja do dzisiaj nie mogę w ogóle oglądać filmów z czasów okupacji. Jak widzę niemieckie jakieś mundury, coś, jakaś akcja niemiecka, to ja wyłączam natychmiast, bo wiem, że to będzie coś okropnego. Ten cynizm i ta buta niemiecka, to, no to po prostu nie mogę tego oglądać, nie mogę, zamykam oczy. No tam żeśmy po prostu już jakoś tak pozbierali się, jakoś żyli. I potem ojciec dostał pracę w urzędzie gminnym, to już na obrzeżach Skierniewic, tak że po lewej stronie były domy, na vis-a-vis były już gospodarstwa. I to było już tam, dla mnie tam, no było... No było, ja się czułam tam dobrze. Nie zdawałam sobie sprawy jak długo, zawsze mówiłam, że my wrócimy do Poznania itd., ale to była wizja tylko. A tam na vis-a-vis jak były gospodarstwa, to było tak: i mleko, nabiał, i kury. Mama wszystko umiała w domu tam coś, po prostu... Takie były domy, gdzie były podwórka, mama umiała zadbać o to, że hodowała kury, kaczki, tak że już było... Tam był kawałek ogródka, tam były drzewa, więc można było już jabłka jakieś czy coś. I znowu mama zrobiła grządki, tak że tam już się nie czuło głodu, już tam było dobrze. Ja u tych gospodarzy się zadomowiłam, bo tam... Ja bardzo kochałam konie, psy, oni mi pozwalali prowadzić wóz. Nauczyłam się wszystko, wiedziałam, jak konia zaprząć do wozu. Dawali mi nawet możliwość, że jechałam z koniem, furmanką po ziemniaki, jak były wybierki. Ja się czułam tam wspaniale, bo byłam w kontakcie właśnie ze zwierzętami, bo bardzo je kochałam. No i tam żeśmy doczekali końca wojny. Tam za nami były lasy wielkie, nie wiem, jak one się nazywały, gdzie była podobno składnica amunicji i jak Niemcy zaczęli uciekać ze Skierniewic, to pamiętam, bo widziałam ich, jak motocyklami z przyczepą jeździli do lasu i oni wysadzili tę całą całą amunicję. Żeśmy znowu byli pod bombami, bo to wszystko się roznosiło wkoło. No, ale uciekli, uciekli, wyjechali. No i przyjechali ruscy. Taka dzicz na konikach, karabiny na sznurkach. Dzicz, dzicz, no bo wiadomo na... Pierwsza linia frontu, to są na ogół ludzie wypuszczeni z więzień itd., taka dzicz. Przyjechali, wiadomość, że na rynku już jest trochę radziecki. No i zaczęły się po prostu... Rosjanie rozchodzili się po całym mieście, szukali kto, gdzie, co jak, czy nie ma germańców, czy się gdzieś nie chowają, taką... Robili przegląd. I do nas przyszli, i uważali, że jeśli ojciec jest sekretarzem w takiej gminie, to widocznie jest Niemcem, i nazwisko niemieckie. I chcieli ojca rozstrzelać. Ale była taka u nas kobieta, która, my przypuszczamy, że to był rosyjski szpieg, bo ona umiała perfekcyjnie po rosyjsku i jak ona wyszła do tych Rosjan i powiedziała, że wam ruszyć tego człowieka, bo on jest dobry, szlachetny, ja tu u niego mieszkam, mnie ura-

tował – oni jej słuchali. Więc nie wiemy, my nie wiemy dokładnie, kim ona była. No i tam u nas, ponieważ te biura były razem z mieszkaniem, to zajęły biura. Jakiś, nie wiem, mówili, że to był syn Żukowa, na kwatery przyjechał. No więc on miał koronkowe ręczniki, miał taką panią wracz, czyli panią doktor, która mu wszystko służyła. On był tak wytworny jak arystokrata, on Rosjan traktował jak swólcza. Jak mu tam przed domem siedział taki zapity, to kopnął go i go tam ustawiał. No i poprosił mamę, bardzo był grzeczny, raz, czy mama mu urządzi takie spotkanie w naszym dużym pokoju, bo on chce jakby taką, nie wiem, czy on obchodził jakieś urodziny, czy jakieś święto czy coś. Tylko proszę, żeby nikt nie przychodził, żeby im nie przeszkadzać, broń Boże, żeby wejść do pokoju. I tam przyszła cała ekipa jakichś żołnierzy itd. I on kazał tej pani wracz zatańczyć. Ona zatańczyła te ruskie takie hołubce. I ona w ogóle go tak otaczała tak, no nie wiem, była mu bardzo posłuszna, uległa i w ogóle o niego dbała. No i byli tam u nas, stacjonowali chyba tydzień. No i bardzo był grzeczny, elegancki, podziękował, wszystko było w porządku. Powiedział, że tu musi być porządek, że nikomu się nic nie stanie, no i opuścili. No i zaczęła się nasza wędrówka do Poznania. Ojciec jako czujka, gdzieś jechał trzy dni w jakichś wagonach do Poznania, bo to przecież było zamieszanie straszne. Zauważył, że nasze mieszkanie jest, nie jest zbombardowane, jest ograbione, jest puste, ale jest. Wrócił po nas i żeśmy chyba w maju, w maju żeśmy ruszyli takim wagonem, już bydlęcym, żeśmy przyjechali do Poznania. No nic więcej, nic więcej. No było... Znowu było biedno, głodno, chłodno, no bo przecież te warunki były po wojnie też beznadziejne i właściwie to, co było w mieszkaniu, to Polacy rozkradli. Było puste mieszkanie, Niemcy uciekli, właściciela nie ma. No, ale jakoś potem ojciec to załatwił, że... Udowodnił, że to jest nasze mieszkanie. Znaczący, nasze, że tam żeśmy mieszkali. No i była radość, żeśmy wrócili. Ale te przeżycia, powiem tak, że człowieka bardzo zahartowały, że człowiek docenia to, co ma, cieszy się z tego, co ma i stara się nie narzekać, zrozumieć drugiego człowieka. Tak że na przykład jak teraz młodzi tak wszystko chcą, przepraszam, że ja tak mówię, chcą wszystko zaraz, szybko, jak tego, to tak myślę sobie: „No bo ja wiem, czy to im da takie szczęście wielkie?”. Ja mówię: Wszystko spokojnie. Szanować siebie, rodzinę. Spokój. To, że człowiek jest, może coś dobrego robi czy jakoś... No w ogóle, no żyć jak człowiek, dbać o swój honor, jakieś bezpieczeństwo. Tak jakby człowiek bardziej dojrzał, szybciej. W ogóle jako dziecko człowiek dojrzewał, wiedział, że nie może marudzić. To było bez powiedzenia: nie wolno marudzić, nie wolno narzekać, nie wolno jęczeć, coś chcieć, marudzić. To tego nie było, tak jakby człowiek wiedział, że to nie wolno, nie może być tak. Do znoszenia trudów też człowiek się przyzwyczaił, doceniać to, co ma, to co może mieć i dbać po prostu o to, żeby... No pewnie żeby było lepiej, ale nie kosztem innych, tylko jakąś swoją pracą, wysiłkiem itd. Tak że z tego wszystkiego złego może i było jakieś dobro. Czy pamięta pani może troszeczkę więcej jakichś scen z tej jazdy do Lublina, bo mówiła pani o sprawie pod Sochaczewem, że tam było strasznie. To było strasznie, bo tam wtedy pewnie się działo, toczyła się bitwa nad Bzurą. Czy pani zapamiętała więcej obrazów z tamtego momentu? Wie pan, nie za bardzo. Ja mam w ogóle wspomnienia ojca, który opisał to wszystko, ale z takimi detalami, że tam i byli szpiedzy niemieccy między nami, już byli wpuszczani, jak to wyglądało... Właściwie to ojciec opisał, tylko bardzo szczegółowo. Ja to mam, bo... Ja jechałam na wozie i właściwie też... No co było? Ja nie pamiętam. Wiem tylko tyle, żeśmy się wciąż chowali przed nalotami, żeśmy mieszkali w jakichś opuszczonych majątkach, bo ojciec znał majątki, bo pracował w tym urzędzie ziemskim, więc tak się kierował, gdzie wiedział, gdzie co jest. To te majątki już były rozgrabione, już były opuszczone, były już jakby... Pamiętam taki piękny salon i biblioteka – wszystko wyrzucone, książki wszystkie wyrzucone. Nie wiem, czy ktoś coś szukał, czy coś. Tak że to już było takie, takie niemiłe, bo to już nie były ani domy, ani mieszkania, tylko takie jakieś pustostany. No ja wiem, co ja bym jeszcze z tego pamiętała? Było wtedy ciepło, był upał, było gorąco. Można było wszędzie sobie zerwać, bo już ludzie uciekali, też się chowali – i owo-

ce można było zrywać, jabłka i pomidory, bo to wszystko dojrzewało we wrześniu pięknie. No i tak po prostu dzień za dniem żeśmy się posuwali aż do tego Sochaczewa. I potem powrót był już taki, powiedzmy, spokojniejszy, bo Niemcy już poszli dalej, już... Nad nami te sztukasy jak latały i strzelali do nas, i bomby różne leciały, tak już potem było spokojnie, żeśmy wracali do Poznania. I w pewnym momencie ojciec mówi: „Patrz, to są Niemcy”. A ja myślałam, że Niemcy to są inni ludzie, sobie wyobrażałam, że jakoś inaczej muszą wyglądać. Siedzieli przy takich kozłach jak to... Siedzieli może z sześciu, siedmiu żołnierzy, zwykłych żołnierzy. Ja tak patrzyłam, mówię: „Przecież oni są tacy sami jak my”. Takie olśnienie nagle. No to było takie pierwsze spotkanie, że to, znaczy się, po powrocie z tego, bo jeszcze Niemców widziałam potem, jak nas wysiedlali, ale tam, w tym takim lesie, zboczu lasu, pierwsze było takie skojarzenie. No i potem żeśmy wrócili do domu. Mosty były wysadzone, tak że trzeba było czekać na przeprawę. No, a w międzyczasie jak żeśmy uciekali, ojciec kupił wóz i konia, i żeśmy już mieli potem własny pojazd. Ja się zaprzyjaźniłam z tym koniem i bardzo, bardzo żałowałam, że tata go musiał do Hartwiga sprzedać. Ale z tej ucieczki no to, to ja nie wiem. Mówię, właśnie to ojciec pisał dokładnie gdzie, w jakich okolicach, do kogo, gdzie, co się działo tam. W jakimś mieście wiem, że krzyczeli: „Nie dajcie koniom pić, bo jest woda zatruta”. Studnie takie były różne, sprzeczne wiadomości: a tam ktoś sprzedaje owies, też zatruty, to Niemcy są. No była panika ogólnie i takie zamieszanie, tumult był, nigdy nie wiadomo, kto mówi prawdę, co się dzieje, kto, skąd, gdzie. No, ale tak to... Ja mówię, ojciec pilnował, mama się zajmowała tym małym. Siostry już były dorosłe, więc one już były takie samodzielne. A ojciec mnie wciąż pilnował, znaczy się, pilnował, żebym gdzieś tam nie... No nie wiem, ale tak z tej ucieczki, to mówię, to mam całe, całe tylko wspomnienia to spisane przez ojca, z takimi szczegółami. A z tej trasy z Poznania pod Sochaczew i z powrotem, czy zapamiętała pani jakieś obrazy wojska polskiego? Nie. Myśmy do Sochaczewa dojechali. To tam tylko były w rowach samochody, które porzucali jacyś, niby mówią, że to byli nieraz właśnie wojskowi itd., ale to wojsko polskie już było przed nami, myśmy jechali pod ostrzałem Niemców, którzy gonili wojsko polskie. Ja tam nie widziałam, nie wiem, czy tam w opisie ojca jest, że jakiś tam, jakiś był, ale chyba nie. Tylko właśnie pamiętam ten obraz, jak oni tacy biedni, obszarpani, zmęczeni, brudni, zakrwawieni, pędzili, ja wiem... Widzę go, jak oni krzyczeli: „Nie jedźcie tam, bo tam jest piekło! Nie jedźcie tam, ludzie! Z powrotem wracajcie!”. I gdzie oni się rozpierzchli, to ja nie wiem. Czy oni gdzieś dalej pędzili, nie mam pojęcia. I wtedy był w tył zwrot i wracamy do domu, bo już do Lublina nie dojedziemy, nie ma mowy. A jeszcze wracając do tej żydowskiej szkoły w Częstochowie. Czy coś więcej o tej szkole mogłaby pani powiedzieć: o nauczycielach, o przedmiotach nauczania. Powiedziała pani, że tam głównie chodziły dzieci żydowskie. Tak, ale my, nas traktowano, że myśmy mieli nawet lekcje religii, bo tam nas było chyba z pięć osób. Wiem, że jednej koleżance, dziewczynce... Był taki moment, że w czasie lekcji ktoś przyszedł i powiedział, że trzeba jej dać znać i ją zwolnić, bo jej mamusia umarła. I wtedy pani, może to... Nie wiem, jaka to była lekcja. Pani nam powiedziała: „No to musimy się za tę jej mamę pomodlić”. I to pamiętam do dzisiaj też, żeśmy zaśpiewali: „Do twej dążym kaplicy”. Jak ja to słyszę w kościele, to sobie przypominam właśnie tę lekcję religii, w której żeśmy się pomodlili, znaczy, tak nas zainicjowała to ta nauczycielka, naturalnie. I ta dziewczynka taka zapłakana... Naturalnie ją zwolnili, no bo nie wiem, czy już tam mama umarła, czy umierała, w każdym bądź razie to był taki moment, że... No, a lekcje mieliśmy normalne. Nas traktowali bardzo... Nie było takiej różnicy wielkiej. A czy oni mieli jakieś lekcje swojej religii czy coś, to nie wiem, to nie mam pojęcia. Ale nas tam było takich dzieci chrześcijańskich, że tak powiem, może z pięć osób tylko, sześć najwyżej. Ale nie było tam jakichś takich spięć czy jakichś takich nieprzyjemnych sytuacji, nie było tego. Było wszystko tak bardzo sympatycznie, oprócz tego, że oni byli syci im dobrze, a mnie już było źle, ale co ich spotkało, jak sobie potem dopiero pomyślałam, mówię, to te dzie-

ci biedne przez komin wszystkie przeszły. Aż mi było tak bardzo żal, że to... Człowiek nie rozumiał, ale ojciec mi nie tłumaczył długo, ja długo nie wiedziałam. Po prostu musiałam zmienić szkołę i koniec. Ojciec bardzo długo mnie pilnował, żebym ja nie miała takich stresów, takich przeżyć takich jakichś, zawsze mnie chronił przed tym wszystkim. Jakie były dalsze losy rodziny, poszczególnych osób, po powrocie do Poznania? Po powrocie to tak... Siostry tam chodziły na komplety, w Skierniewicach, te tajne, więc one tam porobiły matury. Ja zaczęłam chodzić, no ja chodziłam do zwykłej szkoły, to tam tylko żeśmy się uczyli, naprawdę to śmiesznie brzmi, ale ze „Świerszczyków”. Tam były takie „Świerszczyki” i tam o... Właśnie te wiersze różne. Coś pamiętam, była taka na tej róży od piecyka gra tam jakaś, tam tego, takie były głupie wierszyki. No to żeśmy się uczyli czytać, pisać i tego, a potem mnie ojciec gdzieś zaprowadził do pierwszej... Do szóstej klasy, gdzie jak się dowiedział, że można takie tajne też, już nie gimnazja, ale jeszcze szkoła. I ja tam chodziłam, tylko ojciec mi mówił, że to jest tajemnica wielka. I tam nas chodziło sześcioro dzieci, na takie komplety, oprócz szkoły powszechnej. I to było przy gmachu, ta pani miała mieszkanie przy gmachu Gestapo, bocznej ściany Gestapo. Był taki ogródek i ona miała tam taki domek. I to była tak pani wspaniała, ona nas uczyła tak pięknie historii polskiej, literatury polskiej. I była tak, tak odważna w tym wszystkim, tak nam wpoila taką miłość do Polski, do ojczyzny. Na przykład był 11 listopada, to ona się nie bała, ja się dziwiłam – ubrała flagę polską na ścianie i pięknie grała na fortepianie, i po cichu: „Jeszcze Polska...”. Grała nam. „Tylko dzieci, cicho, cicho, cicho”. Że ona się nie bała, to ja nie wiem. A myśmy to tak przeżywały. Raz, że to było coś tajnego, to dla nas takie było przeżycie, że my bierzemy udział w czymś takim niedostępnym, tajnym. I tak właśnie, tak nas wychowywała patriotycznie. Bo to dzisiaj mówią, że nacjonalizm, że patriotyzm to jest nacjonalizm – to jest bzdura. Jaki nacjonalizm? Jak ona uczyła nas kochać ojczyznę, że Polska jest biedna, że jest pod okupacją, że na pewno wolność będzie, tylko musimy się o to starać, a jak przyjdzie, to musimy kochać tę ojczyznę. To jest nacjonalizm? I tak nas wychowała. poza tym było nas sześć osób, więc myśmy byli tam tak przeciwiczeni we wszystkim, bo to każdy był dziesięć razy pytany w tę i w tę stronę i wypracowania najróżniejsze itd., tak że jak ja tutaj przyszedłam, poszłam do gimnazjum Zamojskiej, no to, to ja byłam już taka oblatana w tym wszystkim, bo to wszystko już przerobiłam tam właśnie, tam właśnie z tą panią, bo ona nas może mniej uczyła matematyki, no bo tak... Ale właśnie historia, geografia, polski język, spotkanie z literaturą, z wierszami, z wieszczami, to był jej konik widocznie. No i tutaj skończyłam gimnazjum i liceum, i chciałam iść, ja chciałam iść na konserwację zabytków, ale tu nie było w Poznaniu, a nas... Byliśmy też znowu biedni, bo nic nie było, i musiałam zrezygnować. Chciałam iść na architekturę, w Poznaniu nie było, było tylko SI, szkoła inżynierska, a ja z matematyką, z fizyką to nie za bardzo. I wbrew mojemu ojcu poszłam do szkoły budowlanej, skończyłam technikum budowlane, powiedziałam: „Koniec, teraz ja już nie chcę nic się uczyć, ja chcę żyć normalnie jak człowiek”. Ojciec był bardzo rozgoryczony, bo jedna siostra skończyła stomatologię, druga skończyła geografię, brat na końcu skończył medycynę, a ja jedna nie poszłam na studia, powiedziałam: „One mi są niepotrzebne, ja sobie w życiu dam radę”. Ja bardziej kochałam rodzinę, chciałam mieć własny dom, własne dzieci, ja chciałam po prostu jakby żyć pełnią życia takiego domowego, takiego prawdziwego. No i doczekałam trzech synów, też mam i lekarza, i artystę, który naprawdę mi daje w kość, bo ma też szalone pomysły. Zwiedził cały świat. Gdzie on już nie był, wszędzie: i Japonia nie Japonia, oprócz Ameryki Południowej i Australii, to on już wszędzie. W tej chwili jest w Izraelu, tam wystawy organizuje. Dopiero w Mediolanie był, też organizacje. W Wenecji był dopiero, też. Ale to jest, on to kocha. Jeszcze na chwilę chciałbym wrócić do Skierniewic. Mówiła pani, że do tej nauczycielki, która miała mieszkanie tuż koło siedziby Gestapo, pani chodziła równolegle z klasą szóstą? Tak, tak. Szósta i siódma, bo to wtedy była jeszcze siódma klasa. Bo gimnazjum się zaczynało po siódmej. No tak, ale jak to był czterdziesty piąty rok, to co się dało,

to ona nas uczyła, bez względu czy to tam była... Czyli to były tajne komplety uzupełniające. Tak, tak. Pamięta pani jej nazwisko? Właśnie że nie. To było wszystko nie do... Nikt nazwiskami, nikt nie opowiadał o kimś drugim, tylko: „ta pani, ta pani”, koniec. I ta pani... I myśmy chodzili na przykład z taką... Ojciec czy tam mama mi kupiła taką torbę, zwykłą torbę, malowaną na kwiaty, żeby to wyglądało, że to nie jest broń Boże związane z jakimiś książkami, podręcznikami, chociaż myśmy podręczników nie nosili, ale jakieś zeszyty, coś, co trzeba było tego, w domu czy coś, ale tak, żeby to wyglądało nawet, że my idziemy do tej pani nie na naukę, tylko na jakieś sprawunki czy coś takiego i żeby nie podpadało absolutnie, po co my tam chodzimy. I to tam było takie, że nie wolno nam nic powiedzieć kto, gdzie, jak i co, i to nas tak nobilitowało, że my mamy też swoje tajemnice i jesteśmy ważni tacy, że tworzymy jakąś taką tajną organizację. Tak. Ale nie pamiętam jej nazwiska, nie wiem, co się z nią stało. Ja nawet teraz w internecie przeglądam sobie nieraz, czy jeszcze jest to podwórze, czy jest ten dom czy coś, ale nie za bardzo to jakoś tak... A próbowała pani do internetu wrzucać hasło: „tajne nauczanie, Skierniewice”? To moje siostry wiedzą, bo one do gimnazjum chodziły i tam jest dużo... One nawet mają takie kombatanctwo, też za tajne nauczanie, bo one też potem uczyły, znaczy się, ta średnia. I ona zna nazwiska, bardzo dużo, ale tych, co uczyli już na poziomie gimnazjum. To ma wszystko, to wie. A to była taka, to taka powszechna klasa jeszcze, to nie było tak... Nie wiem, skąd ojciec się o niej dowiedział, to nie mam pojęcia, bo tam nas chodziło tylko sześć, a nawet nie wiem już, skąd te dzieci były. Czy to były jakieś... Bo myśmy tam nie mieli specjalnie znajomych. Owszem, tam w urzędzie, tym starostwie pracował, w tym sejmiku pracował, pracowali Polacy i tam była taka rodzina, która nas zapraszała do siebie czasami, z dziećmi, bo oni mieli też dzieci, ale to takie były niezbyt zażyłe, ale takie, no coś się działo, to taka mała dziura te Skierniewice, takie miasteczko. I pan sobie wyobraża, że któregoś dnia ojciec przychodzi, nie wiem, jak ten pan się nazywał, bo nie pamiętam, i mówi: „Żeśmy wychodzili z pracy taką grupą pracowników i nagle podeszło dwóch panów, my stoimy, oni podchodzą, mówią: »Proszę stanąć – i – w imieniu Polski Podziemnej«...”. Wyciągnął karabin i tego faceta zabił. Ojciec, ja tego nie widziałam, tylko ojciec przyszedł tak cały... Mówi: „Matko święta! Przy mnie to wszystko się działo”. No przecież był, przeżył to. I potem mówi: „Boże kochany, to był jakiś...”. I teraz nie wiadomo było, czy znowu nie będą jakieś z tego kłopoty dla nas, bo jak myśmy się spotykali z nim, on nas zapraszał do siebie, no ale jakoś nie, no bo przecież ojciec był czysty. No, ale w czasie wojny to różne rzeczy się działy. Ale tak przeżył właśnie ojciec ten moment wykonania wyroku „w imieniu Polski Podziemnej”. I nie było gadania – ciach! Koniec. I już się zmyli, nie było ich. Jaką funkcję miał ten zastrzelony? Nie wiem, no był pracownikiem tak jak wszyscy w tym sejmiku, a co on tam robił? No, niby był... No co, tam byli sami urzędnicy. Nie wiem co. Tłumaczył jakieś papiery, jakieś rozkazy niemieckie, coś tego, a co on tam robił, jakie on miał zadanie, to nikt nie wie. Widocznie gdzieś musiał coś, jeśli taki wyrok wykonano, to tak byle kogo o byle co nie zaczepiali. A wracając do współczesności. Po ukończeniu tego technikum budowlanego, pracowała pani w zawodzie? Tak, pracowałam w Miastoprojekcie, Energoprojekcie, Inwestprojekcie. Właśnie tam poznałam tego pana, co był w Mauthausen-Gusen, to był taki współpracownik... Tak że tam warunki i atmosfera była bardzo sympatyczna, żeśmy wszyscy się jakoś... Nie było takiego podziału jak teraz jest: my-oni-wy, tylko było: komuna i my. Tak że to bardzo dobrze wspominam te czasy. A potem, potem się... Potem już, ponieważ, właśnie tak jak mówiłam, mąż był takim artystą-fotografikiem, prowadził też tutaj zakład, potem się udział, robił wystawy i zaczęliśmy na własną rękę żyć. Tutaj dlatego przedzielony pokój, bo tam była ciemnia za drzwiami. No i tak żeśmy już na własną rękę pracowali. Też nie było łatwo, bo też trójka dzieci, trzeba było ich wykształcić, ale ja wspominam to wszystko bardzo fajnie, bo żeśmy się bardzo wszyscy kochali, rozumieli, nie było takich swarów politycznych, bo było wiadomo, komuna to komuna my to swoi i właściwie się nikt nie bawił w żadną politykę ani takie rzeczy. No,

ale mój mąż umarł wcześniej, w sześćdziesiątym roku już umarł, tak że... No ale to co przeżyłam, to przeżyłam, uważam, że mnie to zahartowało, radzę sobie jakoś, żyję, pomagam, jak mogę. Jeszcze temu właśnie synowi bardzo dużo pomagam, bo ja mówię, jak to jest artysta, to on jest tak niepouporządkowany nieraz, a ja jestem wychowana w drylu niemieckim, bo ojciec mojego ojca był Niemcem z krwi i kości, tylko babcia była Polka. Taka Polka, że dziadka tak... Znaczący może nie to, że przerobiła, ale on nie miał nic do gadania, jeśli chodzi o... I wychowała wszystkie dzieci bardzo patriotycznie. Tak że ojcu proponowali. Mówią: „Jak to?”. No folkslistę czy w ogóle, że musi... „Dlaczego pan nie zmienia obywatelstwa?”. Ojciec miał jeden wybieg, powiedział: „Gdybyście mnie nie wyrzucili z rodziną na bruk, to bym przyjął, ale taką krzywdę jak mi zrobili Niemcy, to nie mogę”, tak się zawsze wymigał, powiedział: „W żadnym wypadku”. I jakoś dali mu spokój, bo czasami ludzie, którzy odmawiali przyjęcia, to też byli potem szkalowani czy jakoś deportowani, czy tam wyrzucani itd. Ale jakoś tak w tych Skierniewicach, może to dlatego, że taka była mała dziura, to tak jakoś to – nie wiem, nie umiem powiedzieć. Proszę powiedzieć kilka słów o dziadku. Czym się dziadek zajmował? Oj, dziadek miał przed wojną taki jakiś sklep z... Nie sklep, tak hurt węglowy czy coś. To w Węgrowcu mieszkał. Tam miał taki jakiś handel, ja nie umiem tego nazwać, węglem, w każdym bądź razie coś z węglem tam było. I to potem mi opowiadały kuzynki, bo one w czasie wojny zostały tam, z dziadkiem, że jak Niemcy wkroczyli, to bez gadania został Reichsdeutsch, nie było... No jest Niemiec urodzony, koniec, nie pytali go. I on dostawał kartki niemieckie, a babcia polskie. I zawsze babcia mu wypominała że, mówi: „To jest twoje niemieckie jedzenie, a to jest moje, tylko polskie”. No takie były sytuacje, no i co zrobić? Jak miał na imię dziadek? Juliusz. Julius. No, a w czasie jak przyszli Rosjanie, potem to też Niemców gnębili, więc go cała rodzina wybroniła, że dziadka nie wzięli gdzieś tam do jakiegoś więzienia, no bo Niemców brali, brali Niemców po prostu potem, jak był Niemiec, to często ich aresztowali czy po prostu w ten sposób. No, ale jakoś... On tam był zasiedziały już od wiek wieków, więc tam się wszyscy w tej dziurze, tej małej, też znali, więc mówili: „Gdzie? On to z przymusu, bo on ma dzieci polskie i ojciec był powstańcem”. Przecież ojciec był powstańcem wielkopolskim. Tak że to są historie bardzo dziwne często. Czy ojciec miał jakieś odznaczenia w II RP, za Powstanie Wielkopolskie? Ma, ma, jakiś krzyż ma, tak. Teraz była taka możliwość, że jak ja zgłosiłam, oni w papierach wszystko znaleźli, to przy grobie stawiają: „Powstaniec Wielkopolski”, przy grobie sami oni przystawiają taką tabliczkę, tak że załatwiłam to, czyli legalnie, bo to musiało być udowodnione, że był powstańcem. Ojciec był bardzo taki właśnie, wielkim patriotą był też. Proszę powiedzieć jeszcze kilka słów o tej organizacji społecznej, o tej organizacji wypędzonych z Poznania. Jak organizacja się nazywa, jak powstała. Moja organizacja, bo to jest moja organizacja, to jest Stowarzyszenie Polaków wypędzonych przez Niemców w latach 39–45. To mam też wszystkie dokumenty i właśnie walczymy o ten pomnik dla wypędzonych. Nie możemy się dogadać, bo właśnie jest taki ten pan, który też... Nie wiem, nie wiem, to już mówiłam, i on nam wszystko psuje, bo już ten pomnik by był. A poza tym był konkurs, żeśmy wywalczyli konkurs. Ale powiem uczciwie, że ci artyści, którzy mieli, te projekty nam przedłożyli, to ci młodzi ludzie nie wiedzą, o co chodzi, nie znają historii, nie znają obrazów, nie znają przeżyć, nie wiedzą zupełnie co zaprojektować. Jakieś bohomy, jakiś rozerwany stół – to też już takie nowoczesne wszystko to jest. Jaką tablicę z wierszem Szyborskiej: „Polak Polakowi” czy „Naród narodowi”, no, ale to nic nie mówi, nic nie mówi i myśmy... Ja byłam w tym jury, myśmy odrzucili te wszystkie projekty, bo one nic nie mówią. Ja delikatnie mówię, że tam powinien być na tym jakiś znak niemiecki, na przykład: Nur für Deutsche albo Achtung! Chociażby jedno słowo, żeby to mówiło, że to jest coś wspólnego z Niemcami. Nie wiem, czy się boją, czy nie chcą, nie chcą się narażać, czy nie chcą, żeby Niemcom wypominać, ale wiem, że Erika Steinbach będzie teraz budować wielki ośrodek... Już nie ona, to już nie, bo ona przekazała, właśnie takie muzeum wysiedleni

i oni zrobią z Niemców takie ofiary, a Niemcy byli wywożeni... Raz, że uciekali sami. Tu z Poznania – to mi mąż opowiadał, bo on tu był cały czas w Poznaniu – że jak podstawiono wagony na dworcu, dla Niemców do Niemiec, to tutaj są... Do nas się schodzi na perony po schodach. To Niemcy się tam zabijali na tych schodach, bo jeden przez drugiego, żeby się dostać, tak się strasznie, Niemcy się strasznie bali Rosjan, strasznie się bali i oni uciekali sami, więc niech oni nie mówią, że byli wysiedlani, bo oni uciekali. Myśmy tu znali... Znaczący, ja nie, mąż znał takich Niemców, którzy tu już przed wojną mieszkali, którzy uciekali, jak tylko się dało, jak tylko była możliwość gdziekolwiek, zostawiali wszystko, tak oni się panicznie rusków bali. A ci Niemcy, którzy byli wysiedlani, to byli wysiedlani w takich warunkach, w jakich my byśmy nie marzyli, bo to było po osłonę Aliantów, byli w warunkach cudownych przewożenia, zaopatrzeni, tak że... Też mamy dokumenty, bo my żeśmy tutaj na te tematy wypędzonych bardzo dużo materiałów takich zbierali i takie żeśmy pisma pisali, że to nie Niemcy... Zresztą jeśli oni sprowokowali taką wojnę, no to płacili za to, ich nikt nie wyganiał z Polski. Przecież tutaj Niemcy mieszkali też, jako... I tu nikt... I Żydzi mieszkali, i Polacy mieszkali, wszystko było OK, to tylko Niemcy zrobili taką zawieruchę straszną. I oni teraz się czują poszkodowani. No na litość boską, nikt ich nie wyrzucał, nikt. Tak że to są straszne takie przeżycia ogólne, że no nie wiem, czy my ten pomnik wywalczymy, czy nie, bo ja już pewno nie doczekam. No, a ten facet, ja nie wiem, no pisze takie głupoty, takie głupoty. Teraz był w Republice, tam jest taka „Rozmowa z chuliganem” chyba, w tej telewizji Republika. Przecież opowiadał takie głupoty, że przecież to się przecież płakać chce. On pisze, że Niemcy wysiedlili ich dlatego, że Niemcom się spodobał rodziców dom. No przecież oni chodzili, szukali, który jest ładny. Oni już dawno przed wojną mieli listę wypędzonych. Już dawno. I tutaj znajomy ojca, chwala Bogu, że zdążył zniszczyć listę powstańców, na świętym Marcinie, ulice tam były w tego... Wszystkie podał i do kanalizacji wpuścił, bo tak by mieli już ich dane, a oni nie wiedzieli specjalnie, czy ojciec był powstańcem, czy nie, bo nie mieli dokumentów, a nie dorwali się widocznie przed wojną, bo oni przecież tu już wszystko wiedzieli, wszystko. I to myśmy przeżyli może gwałtownie, właśnie my, wypędzeni, bo to był wrzesień, wojna wybuchła, październik, już się zaczęły w Poznaniu te wypędzenia, już. Czyli my żeśmy poszli na, jakby na pierwszy rzut tych ofiar niemieckich, bo przecież w głowie się nikomu nie mieściło, że oni będą cywilów... To tego nie było do tej pory w czasie wojen poprzednich, żeby takie rzeczy się działy. Nikt nie był przygotowany na takie... Nie to, przygotowany, w ogóle nie pomyślał, że coś takiego może zaistnieć. Więc to był podwójny szok, bo potem już się ludzie oswajali, że Niemcy to robią, to robią, to robią, tak działają, ale z jakiej racji przychodzą i pana wypędzają. Nic pan nie zawinił, tylko tyle, że pan jest Polakiem. Bo za jakąś działalność, prawda, itd., no to jeszcze każdy powiedział: „No tak, no tak”. Ale tu z jakiej racji? Wszystkie umowy: poczdamskie nie poczdamskie, że cywile są zawsze pod ochroną i tak dalej, to wszystko oni, to nie ważne było. Tak że to, tutaj po prostu, to mówię uczciwie, że ludzie gorsze rzeczy przeżyli w czasie okupacji czy te obozy itd., tylko to, że u nas to był pierwszy szok, że w ogóle Niemcy coś takiego robią, że coś takiego może być. Że to jest jakieś bezprawie straszne. Bo to był październik, już się zaczęły październik, listopad, grudzień, już. A potem podobno, to już ja nie wiem, że ten obóz, no to też nie mogę nigdzie dojść, że ten obóz w Główniej, jak już nas wszystkich wypędzili, to on jeszcze istniał i podobno tam był nadal obóz, do którego zwozili Żydów. Że tam jeszcze jakiś czas w tych barakach jeszcze tam urzędowali, ale to już ja nie wiem. I właśnie się domyślają czy doszukują, bo ja też nie pamiętam dokładnie, kiedy Treblinka powstała. Bo wiem, że były takie opracowania, że skąd do Treblinki przyszły pierwsze transporty. I że potem tam z zachodu, z Holandii itd., to już potem wiadomo. I do Oświęcimia, to wiadomo, że tam tych Żydów i Francuzi wydawali Żydów, i Holendrzy i tak dalej. Ale do Treblinki... I tak przypuszczają czy tu stąd właśnie, przez ten obóz. No, ale oni wszystko przeszukali, ograbili przecież tych Żydów. No straszne to wszystko jest, nie daj Bóg.